

Kludia SIESTRZEWITOWSKA* (Poland)

Testament katyńskiej sieroty

Czuję, że zbliża się kres moich dni. To już nie te lata... Wzrok nie ten. Słuch już siada. Wszystko boli. Jednak... jedna myśl nie daje mi spokoju. Muszę się z tym uporać zanim przyjdzie czas na to co ostateczne. Zastanawiasz się pewnie co może trapić osiemdziesięcioletnią starowinkę taką jak ja. Że nie dokończyła sweterka na drutach? Nie. Powód jest znacznie poważniejszy, sięgający mojego dzieciństwa. Dzieciństwa nakrapianego krwią, cierpieniem, łzami. Nie znałam takiej sielanki jaką wy, młodzi dzisiaj macie. Nie było mi to dane. Musiałam za to wcześniej dorosnąć. Swoją drogą to piękne określenie dosyć delikatnie nazywa to co mnie spotkało. My lubimy wymyślać miłe dla ucha nazwy rzeczy, które ciężko przechodzą przez gardło, np. taka pacyfikacja. Brzmi przecież niegroźnie, takie... unieszkodliwienie. Faktycznie, tyle że ostateczne. Można powiedzieć, że mój ojciec padł ofiarą takiej „niewinnej” pacyfikacji, a ja razem z nim. Okazało się, że nie ma już miejsca dla małej Stefci, że nadszedł czas by dojrzała Stefania podjęła trud dorosłości.

Może jednak zacznę od początku. Urodziłam się w malowniczej wsi Starczewice. Byłam pierwszym dzieckiem moich rodziców. Wkrótce przyszła też na świat moja siostra, Zosia. Rok później pojawił się Alek. I żyliśmy tak sobie w piątkę- spokojnie. Dni upływały błogo. Nikt nie przeczuwał tego co już niedługo nastąpi. Co prawda dorośli przebąkaliwali to i owo w rozmowach. Pamiętam doskonale dyskusję rodziców latem 1938 roku. Przekonani, że słodko śpimy postanowili poruszyć nurtujący ich temat. Alek i Zosia spali w istocie, jednak mnie przebudził koszmar. Odgarnęłam więc pierzynę i leniwym krokiem udałam się do kuchni, z której dobiegały przyciszone odgłosy rozmowy. Szukałam mamy, chciałam by ta z powrotem utuliła mnie do snu. Jednak gdy wyczułam napięcie w głosach rodziców senność odeszła w niepamięć. Kucnęłam w progę sieni i nasłuchiwałam. To co udało mi się wyłapać z rozmowy było dla mnie niezrozumiałe. Mama drżącym głosem pytała się taty czy będzie wojna. On fraszobliwie otoczył ją ramieniem i powiedział : „Nie wiem Krysiu, nie wiem... Miejmy nadzieję, że to piekło się nie powtórzy...” Mimo, iż nie zdawałam sobie sprawy o czym oni rozmawiają, przeraziłam się. Jak to mówią panika jest zaraźliwa. Tak więc z duszą na ramieniu pobiegłam do łóżka. Pamiętam, że spałam wtedy jak zabita.

* Praca wyróżniona w konkursie, zorganizowanym przez Studenckie Koło Naukowe Historyków oraz Instytut Historii i Stosunków Międzynarodowych UPH w Siedlcach: „75. rocznica Zbrodni Katyńskiej. Refleksje współczesnego nastolatka”; Kludia Siestzewitowska, uczennica II Liceum Ogólnokształcącego z Oddziałami Dwujęzycznymi im. Św. Królowej Jadwigi w Siedlcach, opiekun p. Anna Lipińska.

No i nadeszło nieuniknione. Pierwszego września 1939 roku wybuchła wojna. Zapamiętałam tę datę, bo tego dnia przypadały czwarte urodziny Alka. Mama upiekła na jego cześć placek z jagodami. Jakież on był pyszny! Nigdy nie zapomnę tego smaku. Szkoda, że od tamtej pory wszystko zaczęło się psuć. Coraz częściej widziałam, że mama potajemnie płacze. Robiła to w samotności. Myślała, że nikt nie patrzy. Myliła się. Dziecko potrafi zaobserwować znacznie więcej aniżeli mogłoby się wydawać. Zosia z Alkiem byli istotnie za mali, by to zauważyć. Jednak ja, jako dziewięcioletnia dziewczynka starałam się patrzeć szerzej. Dlatego czujnie obserwowałam zmiany zachodzące w zachowaniu rodziców. Coraz mniej się uśmiechali, a nawet gdy im się to zdarzyło to nie było w nim widać chociażby cienia szczerości. Przestaliśmy razem jeździć do miasta. Właściwie wycieczki w to miejsce zostały ograniczone do minimum. Po niedługim czasie rozpoczęła się mobilizacja w wojsku. Mój ojciec również dumnie poszedł bronić Ojczyzny. Było nam wtedy wszystkim bardzo ciężko. Rozłąka dawała się we znaki. Wszyscy tęskniliśmy za tatą. Alka często męczyły koszmary, że tata już nie wróci. Wtedy mama musiała go zabierać do swojego łóżka i tulić dopóki ten nie usnie. Trzeba przyznać, że mama dzielnie znosiła całą tę sytuację. Sprawnie przejęła wszelkie obowiązki taty. Ktoś nas przecież musiał wyżywić. Dzieciom trzeba dać coś do jedzenia, ale trzeba je też wychować. Ta funkcja jako najstarszej przypadła właśnie mi. Musiałam zaopiekować się rodzeństwem. Dziecko miało opiekować się innymi dziećmi. Na dzisiejsze czasy brzmi to absurdalnie. Pewnie zaraz pojawiłaby się opieka społeczna. Ale wtedy nikt się nie dziwił takiemu obrotowi sprawy. Podobny problem pojawił się w niejednym, polskim domu. Ojciec oczywiście wysyłał listy, w których informował nas gdzie aktualnie przebywa i co robi.

Tata brał udział między innymi w obronie Lwowa. Zastanawiam się, czy gdyby go tam nie było, gdyby walczył gdzie indziej to czy cała ta historia miałaby inne zakończenie... Aj Stefa, Stefa... wracaj do tematu. Tak więc tata walczył jak już wcześniej wspomniałam w obronie Lwowa w szeregach generała Langnera. Na początku siły polskie, a wśród nich i mój ojciec dzielnie odpierały ataki wojsk niemieckich. Nie było mowy o oddaniu Lwowa. Sytuacja szybko zaczęła się pogarszać, gdy od wschodu zaczęli nadchodzić bolszewicy. III Rzesza nie czekając długo zaczęła się wycofywać, a wkrótce pozostawiła całe pole do manewru Armii Czerwonej. Tata szczegółowo zawarł to w liście do matki. Żołnierze przeczuwali, że opór w tym momencie będzie znacznie trudniejszy. Nie dawali jednak upustu emocjom, a właściwie strachowi tylko walczyli wypełniając rozkazy. Obrona stała się powinnością, działaniem z nawyku, z poczucia żołnierskiego honoru. Dziesiątego dnia oblężenia, czyli 21 Września 1939 roku rozpoczęto rozmowy na temat kapitulacji i jej warunków. Generał Langner wraz z swoimi najlepszymi i najbardziej zaufanymi współpracownikami – gen. Rakowskim, mjr Jawiczem i kpt. Czyczirynem debatowali z osobistym przedstawicielem marszałka Timoszenki, generałem Iwanowem oraz innymi wyższymi oficerami sowieckimi. Langner czuł, że dalsze przelewanie krwi nie ma żadnego sensu. Chciał wybrnąć z tej sytuacji w taki sposób, by Jego Chłopcy ucierpieli na tym jak najmniej. Iwanow podchwycił tę myśl z łatwością i zaczął przytakiwać mówiąc, że Timoszenko jak najbardziej popiera honorową kapitulację Polaków. Gwarantował uwolnienie wszystkich żołnierzy oraz odstawienie ich do domów. Zapewniał również transport, a nawet jedzenie na drogę! Langner wiedział, że lepszych warunków kapitulacji

już nie wynegocjuje, więc zgodził się na te zaproponowane przez bolszewików. Nazajutrz o godzinie piętnastej miało mieć miejsce złożenie broni. Tak też się stało. W szeregach panowało jednak zamieszanie oraz wielkie poruszenie.. Tata pisał o postanowieniach sowiektów. Pisał to wszystko oczywiście mamie. Listy kierowane do nas były pogodne. Zapewniał, że nas bardzo kocha i tęskni. A na końcu zawsze dodawał, że niedługo się zobaczymy, więc do jego powrotu mamy się bezwarunkowo słuchać mamy. Czułam, że nie jest z nami do końca szczerzy, dlatego potajemnie wykradałam mamie listy kierowane do niej, te bliższe prawdy. I czytałam. Tylko dzięki temu wiem, co stało się naprawdę.

Tak więc, zaraz po złożeniu broni żołnierze zebrani w chmurę zostali otoczeni karabinami oraz bagnietami. Rozpoczęto ich zaganianie. Oburzony Langner zaczął się awanturować co to wszystko ma znaczyć. Zaczęto go uspokajać mówiąc, że to dla bezpieczeństwa Polaków, by nikt po drodze ich nie zaatakował. W końcu mamy wojnę. Potwierdzano, że warunki umowy w stosownym czasie zostaną dochowane, a teraz żołnierze będą eskortowani do Tarnopola, skąd będą mogli udać się do domu bądź na granicę rumuńską czy węgierską. Gdy doszli tam nic się nie zmieniło. Miasto było otoczone drutami kolczastymi. Nie przestano traktować Polaków jak jeńców. Coraz częściej pojawiała się myśl w głowie o zbliżającej się katastrofie. Nikt jednak nie odważył się przyznać tego głośno. Rozwścieczony Langner 24 oraz 25 września domagał się wyjaśnień ze strony sowieckiej. Jak można się domyślić i tym razem został zbyty rzuconym od niechcenia : „Umowa będzie spełniona w stosownym czasie. Teraz wystąpiły pewne... komplikacje.” Bolszewicy kłamali patrząc prosto w oczy, że spełnią zawartą 21 lipca umowę, a żołnierze choć zmęczeni byli dobrej myśli. Uzyskali zapewnienie samego Szaposznikowa. Jakie więc też musiało być ich zdumienie na wieść o pierwszych „cichych” wywozach w głąb Rosji. Langner nie mógł w to uwierzyć. Udał się więc kolejny raz do Timoszenki i kolejny raz został odprawiony z kwitkiem. Od tej pory wiadome było, że umowa spełniona nie będzie i nigdy mieć nie była.

Zastanawiasz się teraz pewnie po co bolszewicy zadali sobie tyle trudu, by tak długo zgrywać pozory. Nie było to takie bezcelowe jakby się mogło wydawać. Zależało im bowiem na uchwyceniu jak największej liczby Polaków, także tych którzy zbiegli. Należało ich więc jakoś „wyciągnąć” z ukrycia. Dlatego tak długo nie wyjawiano prawdziwych zamierzeń. Rozwieszano za to plakaty propagandowe, które głosiły, że każdy polski żołnierz, nawet rezerwista może liczyć na godne i swobodne traktowanie niczym żołnierz Armii Czerwonej. Wielu naiwnych uwierzyło w te slogany. Gdy bolszewicy uznali, że cel został osiągnięty nastąpiło wywiezienie jeńców. Jawnie. Z późniejszych źródeł udało mi się dowiedzieć, że do niewoli trafiło 10 generałów, 52 pułkowników, 72 podpułkowników, 5.131 oficerów niższych stopni, 40.966 podoficerów i 181.223 szeregowych. Nie wiadomo ilu znalazło się tam policjantów, oficerów żandarmerii oraz Korpusu Ochrony Pogranicza. Los wszystkich tych ludzi był niepewny. Wśród nich był mój tata. Niedopisany jest strach w takiej sytuacji. Oczywiście, że bałam się o ojca, gdy ten walczył na froncie. Jednak wtedy uspakajało mnie poczucie, że jego spryt i pomysłowość wybawią go z niejednych tarapatów. Gdy przeczytałam , że tata trafił do niewoli gdzieś w głąb przeogromnej Rosji ogarnął mnie paraliżujący strach. Można powiedzieć, że wręcz promieniował. Ojciec trafił do obozu

w Kozielsku. Razem z nim było tam ok. 4.500 oficerów, 6 generałów, prawie 400 lekarzy, 29 księży katolickich, kapelanów wojskowych, reszta oficerów różnych stopni i początkowo trzy kobiety, z czego dwie zostały wywiezione i słuch o nich zaginął. Listy w tym czasie przychodziły regularnie. Póki istniała możliwość korespondencji z osadzonymi korzystaliśmy z tego. Stopniowo listy przychodziły coraz rzadziej, by w końcu przestały w ogóle dochodzić. Zaczęliśmy się w domu bardzo denerwować. Mama nie spała po nocach. A ja połykałam zalegające w gardle łzy, gdy Alek dopytywał się kiedy tata wróci. Jak miałam przekazać mu wiadomość, że najprawdopodobniej nigdy więcej nie zobaczy już kochanego ojczulka? Jak ?! Listy przestały się pojawiać od marca 1940 roku, a był już maj. Pozostało czekać i mieć nadzieję. Coraz trudniej było o pozytywne myśli. Człowieka ogarniały najgorsze scenariusze. Apogeum tego piekła nastąpiło, gdy w czerwcu mama dostała z powrotem listy wysłane do taty z adnotacją: „ Zwrot. Adresat nieodnaleziony.” Zwrot... adresat... nieodnaleziony... Gdyby ktoś spytał mnie, jakie są trzy najgorsze słowa to właśnie ta adnotacja stałaby się moją odpowiedzią. Trzy najbardziej przerażające. Trzy najbardziej bolesne - „ Zwrot. Adresat nieodnaleziony.”

Przeczuwaliśmy co się stało mimo, że nie istniały żadne dowody na potwierdzenie naszej intuicji. Aż do pamiętnego 18 lutego 1943 roku kiedy to Niemcy rozpoczęli ekshumację w lesie katyńskim. To było nie do wytrzymania... Cały ból, z którym udało nam się jakoś uporać, uśmierzyć uległ w tym momencie eskalacji. Nawet Zosia z Alkiem zrozumieli co się stało. 13 kwietnia Joseph Goebbels podał do wiadomości publicznej fakt mordu katyńskiego. Pewnie już wiesz jak zareagowali na to bolszewicy. Dokładnie, zaczęli kłamać w żywe oczy. Kolejny raz. Zrobiło się nawet głośno wokół tej sprawy. Międzynarodowy Czerwony Krzyż powołał specjalną komisję mającą zbadać okoliczności popełnienia zbrodni. Co z tego skoro sowietzi wywinęli się od jakiegokolwiek odpowiedzialności? Nikt nie jest, ani nie był w stanie zrekompensować nam tej straty, ale nikt też nawet nie próbował. Razem z ojcem straciłam dzieciństwo i normalny dom. Od dnia jego wyjazdu mama zajmowała się rolą, a ja rodzeństwem, które bądź co bądź potrzebowało jeszcze opieki i uwagi. Znoszenie tego było możliwe jedynie dzięki perspektywie powrotu taty. To on miał nauczyć Alka jazdy na rowerze. Nie zdążył. Mama od dnia jego wyjazdu już nigdy nie obdarowała nas swoim najpiękniejszym uśmiechem. Tylko tata potrafił go wydobyć z maminie twarzy. Nic już nie było takie samo. Wydawało mi się nawet jakby słońce świeciło trochę mniej jaskrawo i żywo jak za czasów, gdy tata był blisko nas. Jedyny promyk nadziei, który pozwalał nam jakoś funkcjonować ostatecznie zgasł. W naszych sercach powstała pusta. Pustka niebotycznych rozmiarów, której nikt i nic nie jest w stanie zapełnić.

Po raz pierwszy dałam upust emocjom i wspomnieniom. Przez siedemdziesiąt pięć lat skutecznie to w sobie skrywałam. Jednak nie było przez ten czas dnia, bym nie myślała o minionych wydarzeniach, które zżerały mnie od środka, nie pozwalając również na ujrzanie światła dziennego. Nie potrafiłam o tym mówić. Przez wiele lat było to zakazane, a gdy przestało takim być to i tak nie poruszałam tych kwestii. Bałam się. Bałam się, że będę znowu tą dziesięcioletnią dziewczyną. Bezbronną. Na tyle dużą, by rozumieć otaczające wydarzenia, a zarazem na tyle małą by nie móc nic zrobić. Dzień w dzień

patrzyłam jak moja mama płacze do poduszki i nie mogłam jej pomóc. To naprawdę rozdzierające, gdy patrzy się na cierpienie bliskich. Oplata się ich wtedy ramionami naiwnie wierząc, że uchroni ich to przed złem otaczającego świata. Gorzej, gdy zderzymy się rzeczywistością i zobaczymy, że to nieprawda, że nie możesz nic zrobić.

Moje życie było pasmem cierpienia. Musiałam nieraz być wyrachowana. Pamiętać, by zawsze stawiać czyjeś dobro nad swoje. Pomóc Zosi i Alkowi z lekcjami, a dopiero potem odrobić swoje. Otrzeć łzy mamy, nie patrząc na to by ktoś otarł moje. Koniec z tym. Wreszcie zrobiłam coś dla siebie. Zrzuciłam z serca ciężar, który od lat nie pozwalał normalnie żyć. Skoro nie dano mi żyć normalnie to chociaż umrę tak jakbym tego chciała – wolna od ciężaru tak długo skrywanej tajemnicy.